



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał tal. pr. 1 sgr. 20.

## ENTUZYASTKA—MATKA.

(Dalszy ciąg)

Poczuć się w macierzyństwie swoim do obowiązku kształcenia szlachetnej istoty ludzkiej: to główna i jedynie prawdziwa cecha matki-entuzystki. Nie jest nią jeszcze ta, która, w dziecięciu swoje miłośnie zapatrzona, dnie i noce nad kolebką jego trawi. Czem zaś jest wpływ matki samej na dziecko, wie ona dobrze, bo w każdej rzeczy sumienna i najlepszości pragnąca, i tu bez należytego przygotowania do dzieła nie przystępuje i pedagogicznie się kształci, książki o wychowaniu czytuje; że zaś jako entuzystka musi mieć i dumę serca szlachetną, pragnie, aby wszystko co jest w kręgu pojęć ludzkich dobrem, pięknem i świętem, od niej przychodziło jej dziecku. Jak sama, i nie pofrancuzku, nie poniemiecku dziecko swoje pacierza uczy, tak sama wymawia mu pierwszą nazwę tych wszystkich rzeczy drogie, które potem w życiu człowieka mają budzić zapal uczyć gorących, porywów serca wzniosłych. Umie to robić delikatnie, łagodnie, uważnie, bo od czegoż jest matką i ma macierzyństwa instynkt wrodzone, ma, obok miłości niewyczerpanej, i tę tkliwość czułą, która nigdy dziecka nadmiernie obarczyć nie da, nigdy mu się nadmiernie wysilić nie pozwoli? Nieraz obok matki próżnej a płochej, chcącej mieć z dziecka swego, jak papużka szczebioczącą, manierowaną lalkę, dopuści się tego bona, ale nigdy matka sama, cokolwiek uczucia w piersiach mająca: dla tych-to macierzyńskiego wychowania niezastąpionych przymiotów, entuzystka jest zawsze pierwszą dziecka swego wychowawczynią, pierwszą dla rozwijającego się umysłu nauczyciel-

ką. Potem już ona będzie musiała pomocy ludzkiej wezwać, już będzie musiała dziecko swoje, a syna zwłaszcza, szkole oddać, ale przez pierwocie wychowania taki już grunt moralny w sercu jego położy, że wszystko, co przyjdzie potem, buduje się już tylko na nim.

Przytem matka entuzystka nigdy wychowania dziecka swego w ręce obce zupełnie nie zdaje. Wietez zawsze co i jak z niem się dzieje; wie naprzykład wszystko, co jest kierunkiem w szkole, ideą w nauczycielu i jak zwracają tam młodego ducha, jak każą się rozwijać myślom i uczuciom jej dziecka? Są czasem przepotężne względy świata przez które musi ona szkodliwym wpływom przystęp do dziecka swego otworzyć, ale nigdy wtedy obojętnym świadkiem tej smutnej rzeczy nie pozostanie, ręk nie opuści, nie załamie ich bezczynnie. Nie, ona wtedy na wyłomie niebezpieczeństwa stanie, i przy jej sercu, w jej objęciu ciepłem odczyniają się złe uroki, odrabiają szkodliwych wpływów działania. Między tych wpływów światem stanąć — to jej zadanie właśnie, matki entuzystki. Jak niegdyś nuciła synkowi swemu w smętnej kołysance: „Śpij, moje złoto...“ tak później śpiewać mu powinna, ręce na głowie chłopięcia, wyrostka, młodzieńca kładąc: — Duchem czuwaj, sercem kochaj, myślą wzbijaj się podniosłe — ty coś jest skarbem, pociechą całą, życiem matki twojej...

I nie będzie to słabością jeżeli się w takiej chwili niepokoju bolesnego gorącymi łzami zaleje. „Syn takich łez nie zginie“ jak nie zginął syn owej świętej, która, przeciwstawiając się całej nauce sofistów starego świata, całemu zepsuciu Rzymu, rozpadającego się wtedy pod Cezarami, wyplakała go sobie.

Nie były to przecież lzy bierne boleści bezczynnej. Owa matka przebyła morze, rzuciła się w kraj obcy, w społeczeństwo sobie nieznanne, aby tam odzyskać duszy synowskiej, aby ją uratować. Tak musi czynić i tak czyni też każda matka dobra — matka entuzystka: umie być miłością silną i działaniem

spreżystem, lecz nietylko wtedy już, gdy trzeba w otchłanie zstępować, morza i lądy dalekie przebywać. Jest ona nad brzegiem przepaści zagrodą ochronną, jest na rozstajnych gościńcach drogowskazem, stoi z miłośnie rozciągniętymi ramionami i dobry kierunek wskazuje.

Mamy wśród nas taką matkę szlachetną, która, jak rodzicielka Waszyngtona dała dwukrotnie syna swego społeczeństwu naszemu. To matka Siemiradzkiego, o której świętym wpływie na syna, świętych zabiegach czynionych przy wychowaniu dzieci, wiedzą wszyscy. Ta matka w najlepszym już, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu tuliła dzieci, jak kokosz kurczęta, pod skrzydła swego uczucia, swego serdecznego ciepła, które ogrzało genialnego jej syna. Zbudowała ona dla gromadki swojej takie ognisko domowe, taki przybytek rodzinny od wszystkich z niedobrych, rozkładających wpływów szczególnie ogrodzony, o którym świadek tego naoczny, a współpracownik naszego pisma, p. Maryan Dubiecki tak pisze w „Tygodniku Ilustrowanym“ (Pamiętki nasze w Charkowie): „Było to gniazdo, splecione z naszych krzewów, owite słomą naszych pól, ożywione powietrzem naszego nieba, przerzucone dłońmi losu na dalekie niwy. Dobrym geniuszem, co strzegł nietykalności owego gniazda była matka — pierwszy mistrz i kierownik syna, niewiasta wyższego umysłu i uczuć prawdziwie obywatelskich“. Taką też musi być koniecznie matka chcąca odnieść podobny temu skutek, podobny temu tryumf i miłości macierzyńskiej: musi być nietylko kochającą, ale i rozumną, musi mieć umysł wyższy i wykształcony, aby na kształcącego się młodzieńca oddziaływać mogła. Nie może się to stać bez współdziałania serca, ale serce samo już tu radzić sobie nie potrafi, już sobie nie pozyska wpływu potrzebnego. Można matkę, prostą umysłem, najwyższej kochać, można ją najwyższej za jej znacność moralną szanować, ale umysł potrzebuje umysłu, inteligencja inteligencji, aby matka mogła by



synowi towarzyszką w dziedzinie myśli i pojęć wyższych, w świecie idei. I taką też jest zawsze matka entuzjastka: ona dostawszy „człowieka od Boga“, już się zaraz myślą do takiego szlachetnego stanowiska matki mistrzyni podnosi i uczy się, aby wychowywać dobrze mogła, już umysłem pracuje, aby między nią i dzieckiem jej nie było zbyt wielkich przestrzeni dzielących: aby rozumiała swego syna i jego potrzeby wyższe, jego pragnienia duchowe, poloty ku górze. Jest to zdaniem ogólnie przyjętem, że każdy wielki człowiek, miał matkę wielką w swoim rodzaju, i gdy się wczytamy w biografii osobistości wybitniejszych, poznamy, że nieraz wielkości nie osiągnięto dlatego jedynie, że zabrakło w pochodzie tego pierwszego szczebla, którym jest wychowanie wieku młodego. Nasz Rej, który za pomocą jedynie obserwacji życiowej zdołał się stać takim poważnym myślicielem, że mógł napisać niepospolite i nazawsze w literaturze ojczystej pozostałe dzieło: *Żywot pociętego człowieka*, jakże nieskończenie wyżej mógłby się być wznieść w kierunku myśli filozoficznej, gdyby umysł jego był został przez naukę rozwinięty, przez naukę rozjaśniony, do czego zabrakło mu może tylko matki, wyższe ducha potrzeby uznającej? Wiemy, że słaba, ślepa miłość macierzyńska stawiała się tu przeszkodą między synem, a taką wychowawczą karnością ojca, która zbyt młodego życia w karby swe ująć chciała, i surowo pod przymus nauki poddawszy, szlachetniej wyrobioną osobistość uczynić zeń pragnęła.

Więc powtórzmy trzeba, że brakło tu tylko matki, wyższem, dostojniejszem uczuciem kochającej, aby stała w narodzie wielki pisarz, wielki filozof moralny.

Ale nad wszelką wielkość, talent czy gieniusz nawet, podnosi się wyżej szlachetnie wyrobiony charakter człowieka, ta cnota, za którą „idzie wszystko dalsze“. Tu szkołą najpierwszą i zarazem najwyższą, są przykłady w domu rodzinnym widziane, wrażenia pierwsze, które odcisk swój na młodym duchu kładą: to też matka entuzjastka ze względu na dziecko które się tu chowa, dom cały stara się uczynić jakgdyby świątynią prawości, sprawiedliwości i podniosłości ducha, a nigdy, o! nigdy już przez złe pojętą miłość tego dziecka, węzła innych swych obowiązków nie rozluźnia. Gdzie z powodu dziecka ludzie się wymawiają od posług obywatelskich, od ofiarności publicznej, od obowiązków pomocy rodzinnej, gdzie wzgląd na to dziecko, przeszkadza sercu być ludzkim i miłosiernem, tam niema już matki entuzjastki, bo ta przeciwnie o dziecku swoim myśląc i przykładu do niego pragnąc, chce wszystkie cnoty posiadać, nad wszystkie wady się podnieść i nierazką jest taka moralna przemiana—edukacja rodziców przez miłość dla dzieci podjęta. Matka entuzjastka dla dzieci swoich kształcać się, ich i siebie razem kształci, ich i siebie razem dobrem moralnym, pięknością duchową ubogaca i takie przywiązanie do rodziców, które-by się z wyjściem dziecka poza dom nie skończyło, ten szacunek, który matka od dorosłego syna, od zamężnej już córki dostaje, to nagroda, jakiej nigdy nie braknie matce-entuzjastce i która towarzyszy jej do zgonu i jeszcze na jej mogile łąza skropionej, wieniec pamięci składa. O takiej-to matce syn wdzięczny mówi potem, jak Fredro w komedii swojej *Odludki i Poeta*

#### Najświętsze zasady

Wpajała w młode serce własnymi przykładami, I poznałem, gdy przejrzałem lat młodych ciemnoty, Ze życie dobrej matki jest nam szkołą cnoty....

Matka-entuzjastka chowa zatem dzieci swoje razem święcie i rozumnie, przykładem własnym dobrego je uczy, od złych wpływów broni i troskliwie zasłania; ale jest tu przecież i ojciec tych dzieci, jest jej mąż, ogniska domowego naczelnik, który jakkolwiek obok kolebki dziecinnej stać ani może, ani powinien, bo istnieje pomiędzy rodzicami podział pracy, niemniej duch jego nad dziećmi się unosi i w kierunku wychowawczym zaznaczać się musi—a zaznacza się dwojako: raz przez swoje pojęcia i ideały moralne, które obok pojęć i ideałów żony stawia i ton życia rodzinnemu przez

nie nadaje; drugi raz przez ich brak niejednokrotnie zupełny, przez duchową swą nieobecność w rodzinie. Ta ostatnia, smutna ostateczność częstszą jest niżby przypuścić można, pobieżnie na domowe stosunki nasze patrząc. Mąż zajęty pracą na chleb, na utrzymanie rodziny, zapomina, że nie samym chlebem człowiek żyje, że winien on dzieciom swoim i ten pokarm duchowy, którego najmłodsze dziecko już w pewnym stopniu i z jego strony potrzebuje, i, nie będąc złym ojcem w zupełnym słowa tego znaczeniu, usuwa się niejako rodzinie, składając w całości na żonę wychowanie dzieci. Jeżeli wychowania tego nie pojmuję z dość podniosłego punktu widzenia, jeżeli, mówiąc szczerzej, sam dość podniosłą istotą nie jest i nie umiając zastanawiać się i myśleć głębiej, sądzi, że dość już czyni, gdy da dzieciom swoim wygodne i według stanu swego dostateczne utrzymanie, gdy dostarczy im grosza na chleb i suknie, gdy im naukę szkolną lub nauczycielską opłaci. Wszakże obowiązkiem jest żony, a dzieci tych matki, aby porządek w administracji domowej wniósł i tu ład odpowiedni, aby regulamin przyjęty wykonywanym był należycie, czegoż zatem brakną jeszcze może? Więc on żadnego już niedostatku dla dzieci swych nie pojmując, albo tonie zupełnie w pracy na fizyczny dzieci dobrobyt, na materialny ich majątek i ducha swego, całą swą istotę temu zadaniu oddaje, albo godzinami od niej wolnymi wedle własnego upodobania tak rozrządza, na rachunek własnych, poza rodzinnem kołem stojących przyjemności tak zabiera, że go tam, w tem kole niema, i osobistość jego moralna dla dzieci nie istnieje, żadnych dodatnich wpływów na nie nie wywiera, przez co samo już ujawnia dzieła; dzieci bowiem to usunięcie się ojca odczuwają, co im wytwarza więcej niż sieroctwo fizyczne, bo sieroctwo moralne, które z czasem sądzić będą.

— Czyż przecież entuzjastka takiego męża mieć może? — Czyż entuzjastka tak małodusznego lub moralnie nieodpowiedzialnego człowieka zaślubić i na miłość swego serca, na towarzysza życia swego wybrać zechce? Ale są w życiu ciężkie zawody i omyłki, często mąż dojrzały nie odpowie nadziejom, które młodzieniec zapowiadał i gdy sercem wychłodnie, umysłem się obniży, używanie, karierę materialną za cel najwyższy uzna, w chętkach spokojnej wygody utonie, biedna żona zapóźno spostrzeżę, że małost, że nicość ma przy sercu, że małost i nicość zajmuje to miejsce dostojne, które się głównie ojcu rodziny należy. Bywają też i wypadki inne: dziewczynie każą często wybierać wcześniej, niż rozumnie i samoistnie wybierać może, staje się żoną, zanim dojrzałość umysłu sądzić jej gruntownie pozwalała, zanim jej własna istota duchowa z powijków rozmaitego rodzaju wywinąć się zdoła, ale już powrotu za siebie niema, już obowiązek wiąże, już świętość małżeńskiego węzła na nierozdzielność splata: więc uczciwa, a entuzjastka inną być nie może, los smutny z godnością spełnianego obowiązku przyjmuje. Tylko już zbrodnia nikczemna i stanowcza męża podłość, tylko zupełne zerwanie z uczciwością i dostojnością ludzką, zdrada obowiązków świętych, może żonę, matkę dzieciom z przysięgi ślubnej rozgrzeszyć, a skoro entuzjastka na szali życia swego nigdy szczęścia z obowiązkiem nie waży, bo narzód już wie, co przeważać musi i powinno: więc też i tu szczęścia owego niedobór uczuciem spełnionej powinności sztukując, żonę zostaje i tylko dzieci swe tak chować usiłuje, aby to złe, którego już naprawić nie może, najmniejszym, w skutkach swoich najmniej szkodliwym, było. Już to do najwyższych obowiązków, nietylko matki, ale i żony entuzjastki, się liczy, aby najusilniej, z największą ofiarą, z poświęceniem choćby najcięższem, męża swego przy rodzinnych obowiązkach, ojca swych dzieci przy powinnościach jego dla nich starała się utrzymać; ale nie wszystko jest w naszej mocy i gdy to niemożliwością się okaże, obowiązek żony inną postacią przybiera.

Należy jej nietylko, na siły się wzmagać, męża, oile zdoła, przy dzieciach zastąpić, ale przed ich wzrokiem braki jego wszelkim godziwym sposobem zasłaniać, tłumaczyć, w łagodzącym świetle je stawiać, i to nietylko ze względu na jej możliwe do męża przywiązanie, na jej szlachetne pojęcie obowiązków żony, które skargi na

usta nie puszcza, bo skarga ta jest już moralnym między małżonkami rozwodem, jest złem piętnem, które na charakterze jej samej, na charakteru tego podniosłości się wyciska i o wyższej delikatności jej uczuć wapić każe. Żona entuzjastka, nie... kobieta entuzjastka, nigdy do tego nie schodzi, co na kwiat jej kobiecości jak przyzmiewający pył ciska i póki w małżeństwie trwa, ludzką jej godność obniża, ale zarazem i matka entuzjastka, która zna szkody ogromne, jakie-by dzieciom jej przynieść mogło poniżenie postaci ojca, przed najcięższą ofiarą się nie cofa, aby tego nie dopuścić. Najlepsza matka nie zawsze zaradzić temu jest w możności, od czego posłuszeństwo ojcu, powaga słów ojcowskich, syna szczególniej, wstrzymać może, przytem gdzie dziecko, choćby jednemu z rodziców musi szacunku odmówić, już wychowanie źle idzie, już coś bardzo drogiego, bardzo cennego w sercu dziecka się łamie i złamanie to odbija się w sposób niezmiernie szkodliwy na całej istocie młodej. Ojca, matkę sądzić!... Na ojca na matkę wyrok potępienia wydać!... to przewrócony porządek moralny, to harmonia uczuć zmieszana, to coś bezbożnego i wyrodnego razem, co się zbrodni Orestowej poniekąd równa i jest zbrodni tej stroną moralną z jej prześladowcami winowajcę jędzami wyrzutów, żalów, smutków serdecznych: a cóż gdy to o życia zaraniu młodą, miękka jeszcze, jeszcze do takich tragedij wewnętrznych nie zahartowaną, nieprzygotowaną istotę uderza? Albo dziecko wyzuwa się z miłości, albo przez wytrwałą siłę uczuć serdecznych kocha jeszcze, choć już nie szanuje, lecz wtedy cóż to za nieszcześliwa lekcyja życia, przez którą miłość już przy ideale piękna moralnego, przy ideale dobra, nie stoi?

Entuzjastka, która sama w sobie miłość taką uważała za wstyd i upodlenie, nie może dla dziecka swego spokojnie na nią przystać i dla tego też nigdy wad ojca oczom dziecka nie obnaży i więcej nawet: zdobywa się na smutną odwagę, aby osobą swoją wady te zasłonić, do wiadomości dziecinnej ich nie dopuścić. Dramat to jest zawsze smutny, a często tragiczny, pełen łez cichych i jęków tłumionych i raz w życiu ja sama z taką okrutną rzeczą się spotkałam. Zdarzyło się, że weszłam raz do pomieszkania, którego frontowe pokoje jasne, obszerne, miały pełno słońca i wesołego widoku, miały na ścianach kosztowne obicia barw żywych i oku miłych, były wreszcie zastawione sprzętami artystycznie już pięknymi. W salonie aksamity, marmury i zwierciadła ogromne; w bibliotece dębowe szafy rzeźbione i posażki, sztychy, ryciny, a w gabinecie pana wykwił, wygoda, dostatek, którego ślady wybitne dawały się widzieć w kuchni nawet, rozciągały się do pokoju dla służ i wśród tego tylko jedna smutna, posępna nawet komnata tylna, długa a wązka, z jednym oknem na podwórze wychodzącym, razila jak anomalia, jak dyssonans w harmonii ogólnej i uderzała, aż do zadziwienia. Pomieszkanie było do wynajęcia i jeszcze stało tak, jakgdyby je właściciele dotychczasowi zajmowali; tylko tu już była pustka, już wyniesiono ztąd wszystko i mimowoli zapytałam pokazującej je kobiety służącej: dla czego tak jest, a ona westchnęła. — Ach! rzekła — tam były pokoje pana, a tu mieszkała pani z dziećmi i teraz wzięła to tylko, co tu się znajdowało, a tamto oddała, bo pan w więzieniu...

Zapłakała, ale opowiedziała wszystko: bolesną historią wewnętrzną tego, co przez samo wymienienie nazwiska już o sobie mówiło, bo rzecz była całemu miastu wiadomą. Znajdowałam się w pomieszkaniu człowieka, który na stanowisku zarządcy dobra cudzego nadużył położonego w nim zaufania, grosz sobie zwierzony przywłaszczając. Żył tak, czyniąc lat kilka, oddawał się spokojnie zamiłowaniu artystycznym i literackim, miał sprzęty, o których w Warszawie mówiono, skupował osobliwości starożytne, używał swobodnie miłego życia, w dostatku, którego przecież jego młoda żona dzielić z nim nie chciała. Z dwojgiem dzieci, jeszcze małych, cofnęła się w kąt najsmutniejszy mężowskiemu domu i wiodła w nim ciężki żywot pokutnicy, chodząc w sukniach najprostszych, ze wstrętem i tylko czasami, zmuszona przez męża, ubierając dzieci



w stroje, które im kupował. Nawet obicie to ciemne, które niejasny i tak pokój jeszcze zaciemniało, to ona chciała je mieć i sługa, ocierając łzy mówiła, że w dodatku wszyscy uważali tę niešťeśliwą za dziwaczkę, za charakter posepny, który życie męża zatruwał. A ona już widać wszystko wiedziała, poznawała prawdę i nie chciała używać owoców grzechu....

Nie podobna mi tu umieścić różnych drobnych szczegółów opowiadania, szczegółów, które serce krajały, lecz wśród których ta postać kobiety entuzjastki wyrastała na bohaterkę, na lilię między cierniami. Męża nie chciała opuścić, bo miała może nadzieję, że go tem zachowaniem się swoim poprawi, że żywy wyrzut, żywa protestacja pogwałconych praw moralnych, sumienie jego dotknie przeciw i obudzi; a może było w niej coś liłości nad nim, przez którą nie chciała zerwaniem swoim zdradzać go i wydawać na pastwę karzącej sprawiedliwości, była może reszta miłości dla człowieka, którego kiedyś zaślubiła z miłości — było zapewne to wszystko razem, a w dodatku, stał przed nią ojciec tych dzieci dwojga, które tylko bronila, oile sił stało, od używania hańbę niośących dostatków.

I wychodząc nakoniec z domu, na który hańba ta padła nareszcie gromem strasznym, nie wzięła z niego nic prócz osobistej swej własności, prócz tego, co dla siebie i dzieci zgromadziła w tym pokoju posepnym, biedna kobieta, chodząca wiecznie za czasów świetności męża w sukni z popielatego beżu — nie tej przeciw dziś tak zwanej, stosunkowo wykwintnej tkaniny, ale z tego dawnego: ostrego, prostego beżu, który służył przeważnie na ubranie klas ubogich.

I potem ta kobieta nosiła mężowi swemu do więzienia jedzenie; szła tam do niego z dziećmi, którym może potrafiła choć do czasu obraz moralnej nędzy ojca jakotako zasłonić. Raz ją widziałam: bladą, smutną postać z małą dziewczynką i o parę lat starszym chłopczykiem. Chciałabym była głowę przed nią skłonić, chciałabym była zawołać: — O ty niešťeśliwa i wytrwała! o ty szlachetna! ale konwenanse światowe wzięły nas już wszystkich w kleszcze swoje, przytem ulica na której się z nią spotkałam, nie była miejscem na wyrażenie tego holdu, któryby może był dla niej obróceniem noża w ranie — i przeszłam też tylko z uszanowaniem, jak koło świętej wyznawczyni i męczennicy.

(Dokończenie nastąpi)

## NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Ten tać się z sobą nie potrzebował i czekał jawnie na powrót chorążego, w którego kassie miał jeszcze do odebrania zaległość. A że w karczmie życie wiele kosztowało i niespokojne było, wyniósł się do mieszczanina Zahajki, do dworku przy ulicy, która szła koło Akademii na Wolę.

Zahajko, dawno mu był przyjazny, i chętnie mu izbę dużą odstąpił, do której Marcyan z rzeczami swemi się sprowadził.

Z Warszawy przybyli ludzie i fury opróżnione, pouwalniani ludzie przybywać zaczęli, oznajmując o prędkim księcia powrocie. Przyjechał i Dederko, którego Butrym znał, nie będąc z nim nazbyt poufałym, ale czując w nim nieprzyjaciela Wolskiego. Nie wydawał się on z jawną niechęcią przeciw człowiekowi niebezpiecznemu, ale też i wstrzymać się nie mógł, by z niego nie drwił i na niego nie sarkał.

Butrym poszedł do niego nazajutrz na zamek i zastał go odpoczywającego po warszawskich trudach, na tapczanie wyciągniętego, z fajką w ustach.

— Butrym! Pan Jezus przy dziecięciu! — zawołał, zrywając się, Dederko: — Jak to? ważysz się waćpan pokazywać na dworze naszym, majestat Wolskiego obraziwszy?!

— Jużeśmy z sobą skończyli — odparł Butrym spokojnie. On do mnie strzelił a ja-m na niego plunął, zatem kwita byka za indyka. Tymczasem mam w kassie książęcej kilkaset złotych, no — chorążego chcę pożegnać, a za służbę mu podziękować.

— I nie boisz się? — odparł Dederko.

— A czegoż-bym się miał lękać? Pokrzywdzono mnie, więcej się nie spodziewam.

Dederko nań popatrzał.

— Czyń, jak uważasz lepiej — rzekł — tylko cię przestrzedz muszę, że chorąży powraca z Warszawy zły i nieukontentowany, gniewny i kwaśny, jak nigdy.

— Co? polowanie się nie udało?

— Jakożywo! doskonale poszło, bo niewiele miał Wolski doczynienia, gdyście wy niemal wszystko zrobili za niego.

Podkoniuszy się trochę zatrzymał, jakby ważył czy ma mówić czy milczeć. Znał jednak Butryma, że go nie zdradzi.

— Nie wiem — ciągnął po chwili — czy książę po polowaniu spodziewał się jakich łask nadzwyczajnych i na tem się zawiódł; czy go w oczy biło, że brat hetman zawsze przed nim szedł przodem — dosyć, że co-by miał ze dworem być lepiej niż dawniej, na Brühl i na króla się krzywi mocno.

Drudzy powiadają, że... ale to temu wierzyć trudno, skłania się do familii i Czartoryskich i gotów podać im rękę.

— Temu mi się wierzyć nie chce — przerwał, śmiejąc się, Butrym. Ale, kiedyż książę powraca?

— Lada dzień go oczekujemy — odparł Dederko.

— A nie byłibyscie łaskawi o mnie mu słówka napomknąć, że mu się chcę pokłonić? — pytał Marcyan.

— Ja? przeżegnaj się, człowiecze — rozśmiał się koniuszy, albowiem to ja faworyt i ucho jego mam? albo to moje słowo u niego co warto? Chyba chcecie, abym przez Wolskiego to uczynił....

— Ja z Wolskim nie mieć nie mogę do czynienia.

— Ja zaś sam, biedaczysko, nie dla ciebie zrobić nie potrafię, choćbym i chciał — dodał Dederko. — A gdybym na twem miejscu był — o te kilkadziesiąt złotych w kassie nieupominając się, Wolskiemu na oczy nie ukazując, jechałbym ztąd jaknajdalej.

Ruszył ramionami Butrym, nie będąc tak bardzo lęklwym. Powrócił do domu Zahajki i czekał. W kilka dni rozeszła się wieść po miasteczku, że chorąży powrócił. Poznać też było łatwo na zamku, iż dwór w nim gościł, bo się zaraz załudniło, ożywiło, czujniej zaczęto bram pilnować i ruch powstał większy posłańców, gości, przyjeżdżających i odprawionych klientów.

Wiedzieliśmy wszyscy, iż książę, choć się z tem nie wydawał i o polowaniu a łaskach królewskich mówił rad — przybył na duchu uciśnięty, a choć go hetman przyjmował w Warszawie, do brata zażalony, zazdrosny o niego. Wnioski z tego czyniono różne.

Wolski natomiast z większą jeszcze niż dawniej butą i pewnością siebie powracał, bo i król go znał teraz i z ludźmi wielu znajomości porobił pożyteczne i chorąży miał dlań pewną wdzięczność za polowanie. A pokryjomu hetman go sobie przez Ponikwickiego i innych zyskał, obietnice mu jakieś uczynił wielkie. Przyszłość miał zapewnioną.

Z chorążym zaś, choć trudno bywały do przebycia chwile, choć go łajał i pędzał, słuchał i bez niego się obejść nie mógł.

W Białej więc czuł się Wolski niemal najznaczniejszą figurą, i kiedy księżna chorążyna, której

się do niego mieszać nie było wolno, chciała coś na mężu wyrobić, używała biedna tego środka, iż przystojną a roztropną pannę Obińską, ze swego franczymeru, posyłała do łowczego z prezentem, aby przez niego wytargować na mężu, co jej było potrzeba.

Wolski, zaledwie się znowu znalazł tu na swych śmieciach, wnet dawną władzę pochwyił — ludzi swych pozwoływał, dowiedział się o wszystkim, czego potrzebował. Doniesiono mu i to, że Sępik zbiegł, ale o tem milczeć kazał, aby książę się nie dowiedział.

— Ma pan słuszność — rzekł w duchu — iż kogo raz do lochu zamknie, już go na świat nie wypuszcza. Komu tu już wierzyć, kiedy ten, co się na nogach nie mógł utrzymać....

Taksamo zaraz wiedział Wolski, iż Faustysia była chora, że dwaj Butrymowie zjawili się w Białej, jeden z nich gdzieś znikł, a drugi u Zahajki mieszkał i zdawał się czekać na przybycie chorążego.

— A ha! będzie on go widział! — zamruczał Wolski sam do siebie.

Dopuszczać go do chorążego nie myślał wcale, ale gwałtu na nim dokonać — wahał się. Znali go ludzie, wrzasku-by było nadto, a Marcyan też zuchwały i silny był, mógł się porwać — i za strzał strzałem odwetować.

Zapobiegając temu, aby się na zamku nie stawił Butrym, łowczy księciu sam przedstawił, aby zaległą pensją kazał mu wypłacić, a z miasteczka go wydalić.

— On tu z bratem będzie intrygował, około Zaborskiej — rzekł — lepiej, żeby go tu nie było.

Na wszystko to przystał chorąży.

Natychmiast po powrocie z Warszawy, smutnym się czując, a w towarzystwie żony nie mogąc się rozweselić, chciał książę wieczorem odwiedzić Zaborskie i posłał hajduka z oznajmieniem o tem; ale Sawery przyniósł wiadomość, iż Faustyna leży w łóżku chora.

Zląkł się bardzo chorąży i wołać kazał Wolskiego, łając go, że mu o tem nie oznajmił; przykazując, aby doktor Dubiski poszedł radzić i zdał rapport z tego, jak znajdzie Zaborską.

Doktor, uczony, nauką i praktyką zajęty, był jednym z tych ludzi, którzy odosobnieni stoją i do niczego się mieszać nie chcą, aby do niczego za mieszani i wciągnięci nie byli. Na dworze książęcym, czując się też pewną potęgą, Dubiski pilnował powołania, a z ludźmi obchodził się jako z subiekta- mi, mniej więcej experimentów dostarczającami.

Wszyscy mu tu byli obojętni, a stosunków odgadywać nie, chciał ani badać. Kto nie był chory, na tego Dubiski nie patrzył. Szanowano go i oszczędzano, bo dawał dowody nauki swej i przenikliwości.

Proszony, aby poszedł do Zaborskiej, udał się tam natychmiast. Znalazł Faustysię w łóżku z trochę gorączki, roznerwowaną bardzo, spłakaną, bez żadnej choroby wyraźnej, któraby się oznaczyć i nazwać dała, ale w stanie, który przystęp wszystkim chorobom ułatwia. Nakazał spokój — jak gdyby go kiedy można nakazać — i jakieś nic nieznaczące paliatywa. Matce powiedział, wychodząc, aby córki niczem nie drażniła.

Na zapytanie chorążego odpowiedział poważnie — iż chora potrzebuje wypoczynku, troskliwej opieki, ale niebezpieczeństwa niema żadnego.

— Zdaje się, mości książę — dodał — z tego, co mi matka opowiadała, że ostatnia, nagła podróż z Warszawy, po nocach, pośpieszna, w której nie oszczędzano kobiet, jest choroby przyczyną. Musiano się z niemi obchodzić nieogłędnie.

Książę, chociaż sam nakazał wywiezienie i pośpiech, winę zrzucił na Wolskiego — i wieczorem go złażał.

— Co książę słucha babskiego gadania! — odparł łowczy. Podróż z chorobą nie ma związku, ale w Warszawie spodziewali się widzieć z Butrymem.

— Co ty mi tymi Butrymami ciągle dokuczasz! — krzyknął chorąży.

— Bo ja wiem, że póty z Zaborskimi nie bę-



dzie spokoju, póki my nie zamknjemy do ciupy dawnego jej amanta.

— Zamknij-że go, niech się to skończy, — krzyczał książę. — I żebym ja o tem nie słyszał więcej.

Codziennie posyłano Dubiskiego dowiadywać się o zdrowie panny i czy z łóżka nie wstała, gdyż chorąży coraz niecierpliwiej w odwiedzinę się wybierał, a Faustynka nie wstawała.

Tymczasem Marcyanowi ze dworu dano znać, ażeby do kassy książęcej po zaległość się zgłosił, pokwitował ze wszelkich pretensyj — i w trzy dni najdalej, z miasteczka się wyniósł, bo go tu książę cierpieć nie chce.

Wiadomość tę odebrawszy, Butrym, ani nią się zmartwił, ani go ona bardzo zdziwiła. Ponieważ kilkakaset złotych dla niego wiele stanowiło, począł od tego, że do kassyera z papierem poszedł i co mu należało, odebrał. Kwit, jaki mu podpisać dano, *manu propria* kontrasygnował. Co się tyczy wyjazdu rychłego, namyślał się, nie wiedział bowiem jeszcze co robić z sobą, a dla samego brata nazbyt się nie chciał oddać.

Pojechał więc do sąsiednich dóbr Sapieżyńskich szukać sobie, jeżeli nie służby, to schronienia, naradziwszy się wprzód z bratem.

Mógł-by był w lasach Radziwiłłowskich, pomiędzy leśniczymi i fficyalistami, mając wielu dobrze życzących, łatwo się ukrywać Marcyan, lecz nie chciał nikogo narażać na odpowiedzialność.

Trzeciego dnia, gdy się Wolski kazał dowiedzieć, czy Butrym jest jeszcze u Zabajki, powiedziano mu, że wyjechał, zabrawszy całe swe mienie, niewiadomo dokąd — ku Kodniowi i Terespolowi.

Domyślał się Wolski, iż albo u podskarbiego Fleminga lub u Sapiehów kondycją jakąś znaleźć sobie musiał.

Nie był jednak spokojnym, bo jak sam mściwym był, tak i w drugich zawsze zemsty się obawiał. Przykazał swoim ludziom, aby na zjawienie się którego z Butrymów pilnie oko dawali.

Kilka tygodni upłynęło i miało się już ku wczesnej wiosnie, a na Białskim zamku żadna widoczna nie zaszła zmiana. Faustyna, przekonawszy się, iż ją choroba od natrętnych odwiedzin księcia uwalnia, wstawała czasem zrana, a kładła się pod wieczór, doktorowi zaś na wielkie uskarżała się osłabienie.

Zaborska posadzała ją o udawanie choroby, ale nie śmiała już i tak zrażonej do siebie córki więcej jeszcze odstręczać gwałtowniejszem postępowaniem. Siadała tylko godzinami przy jej łóżku, nawracając ją, nakłaniając, aby dla księcia była powolniejszą. Na to Faustynka już nawet nie odpowiadała.

Stan ten jakiegos oczekiwania nieznośnego przeciągał się długo.

Damazki prawie codziennie wkładał się do miasteczka, usiłując jakimkolwiek sposobem z zamkiem związać stosunek taki, aby o sobie dać Faustynie wiadomość. Pomimo największych ofiar i narażania się, nie powodziło mu się. Straże były czujne, Wolski podejrzliwy; Zaborska stara na krok się nie oddalała.

Służąca, prosta dziewczka ze wsi wzięta, rzadko na miasto wychodziła i lękała się przeniesć najmniejszego świstka do panienki, bo wiedziała, że Wolski za najłżejsze przekroczenia w służbie zamkowej po kilkaset łóz sypać kazał. Nie było innej drogi nad tę, do porozumienia się z Faustyną, gdyż od strony wałów, nawet we dnie stawiano strażę jawne lub ukryte.

Damazki wieczoru jednego o mało nie wpadł w ich ręce.

Przekupiona i upojona służąca naostatek, z wielkim strachem, podjęła się kartkę zaniesć paniencie. Udało się jej oddać niepostrzeżenie i wynieść odpowiedź, którą u Froima złożyć miała.

Zaczęły w ten sposób krążyć liściki — i Butrym mógł w nich zapewnić ukochaną, że czuwa, stara się, przygotowuje, czyni, co może.

Wiosna nadchodząca, zdaniem jego, miała więcej sprzyjać zawsze projektowanej, marzonej, ale nadzwyczaj utrudnionej, ucieczce. Czekało wiosny.

Faustyna tymczasem ciągle jeszcze chorą się czyniła, a doktor, domysłający się może przyczyny, choć po sobie tego poznać nie dawał, o wstawanie nie naglił, choć książę stawał się niecierpliwym coraz.

Marcyń, w Wisznicach osiadłszy, do brata się dowiadywał ciągle, jak mógł, odwodząc go od zbyt zuchwałego porwania się. Nie zważałby może na rady jego Damazy, lecz wistocie ucieczka dotąd była niepodobieństwem.

Zapowiadano głucho wyjazd chorążego do Słucka, na przyjęcie przejeżdżającego tamtędy księcia kurlandzkiego Karola. Spodziewano się, że Wolski miał mu towarzyszyć, i Butrym całe swe ufundował nadzieje na tej chwili, gdy Biała znowu opustoszeje nieco, a chorąży z sobą dwór cały do Słucka pociągnie.

Rok cały upłynął od owych sławnych łowów Radziwiłłowskich na Ujazdowie, o których dwóch już tylko może ludzi pamiętało i mówiło — król i chorąży.

Po każdym niemal polowaniu w okolicach Warszawy, o które się Brühlowie postarali, August III z uśmiechem i westchnieniem zwracał się do ministra i szeptał:

— Zawsze to nie to co radziwiłłowskie! Minister potwierdzał opinią N. Pana, lecz dodawał, że nawet Radziwiłł dwa razy w życiu takich łowów sprawić nie mógł.

Książę chorąży lubił też wystąpienie to swoje przypominać — i wykazawszy, co on dla króla czynił — dawać dozrozumienia delikatnie, iż — niewdzięcznością mu się odplącono.

Książę „Rybeńko“ piastował najwyższą na Litwie dostojność hetmana, a on, był zawsze jeszcze chorążym tylko. Synowiec Karol, miał już prawie równe mu miecznikowstwo, jego zostawiano, zapomnianego przy tej chorągwi, około której nie do czynienia nie było.

A książę miał się za statystę, za człowieka wielkiego wpływu i znaczenia, za zdolnego piastować najwyższe urzędy w Rzeczypospolitej.

Potwierdzał to Matuszewicz, ilekroć z nim zamknawszy się, na cztery oczy, skarżył się na tę niesprawiedliwość chorąży, przypisując intrygom hetmana Rybeńko, to postępowanie siebie.

Dwa dwory, nieświezki i bialski, znowu stały jak dwa nieprzyjazne sobie obozy, chociaż wojna nie była wypowiedziana. Hetman, nieco bystrzejszego umysłu, nie widział potrzeby rozpoczynać jej, bo mu donoszono, o czem on sam miał sposobność przekonać się w Warszawie, iż chorążemu nogi brzękły — i, jak się wyrażano w Nieświeżu — niedługo pewnie miał już popasać.

Szło tylko o to, aby z popasu wyjeżdżając, nie rozporządził dobrami bialskimi i Słuckim, w części na żonę, w części na innych Radziwiłłów, albo ich zbytecznymi zapisami nie obciążał.

Testament był w robocie, to nie ulegało wątpliwości. Biskup Ptolemaidzi kreślił do niego koncepty różne, chciano ściągnąć Matuszewicza, aby im nadał formę prawną, lecz gdy do spisania przychodziło — myśl testamentu ciągnąca za sobą przypomnienie śmierci — wstrzymywała obawę jakąś.

— Będzie na to czas — mówił książę.

Przychodziły nań takie godziny, że Wolskiego, którego lajał często od czci i wiary, a niekiedy się zamachnął nań, jakby miał dać policzek (czego w rzeczywistości nigdy się nie dopuścił), chorąży wtajemniczał we wszystkie arkana myśli swoich. Naówczas przyznawał mu się do klauzul różnych, które miał w testamencie pomieścić, do figłów, jakie chciał hetmanowi niemi wyrzucić, do alienacji Słucezyny, na rzecz dalszych powinowatych, wojewodzieców Nowogrodzkich i innych.

Wolski słuchał, naturalnie, aprobując, ale kończył zawsze:

— Na co to jasnie oświecony nasz pan i król, łaskawca i dobrodziej, temi smutnymi myślami się zabawia? Książę jeszcze hetmana przeżyje: po co się z tym testamentem śpieszyć?

Chorąży znajdował, że Wolski miał słusność. Mówiło się dyskursywe, a rzecz nie nagliła.

Doktor Dubiski, który ciągle na księcia patrzył i w twarzy jego śledził postępy choroby serca, dawno już zbadanej, znajdował go coraz gorzej, ale o tem nikomu mówić nie potrzebował.

Pytany, kazał się wystrzegać wszelkich silniejszych emocyj, okazji, gwałtownych zmartwień, gniewu i t. p. Czasem przypatrywał się nogom księcia, które coraz dziwniej wyglądały, napęczniałe i martwe.

Wstrzymywał się książę od dawniej, wielce mu ulubionych łowów, ale podróże, które niby polityczne cele miały, wycieczki dla pozyskania sobie przyjaciół, a na zamku przyjęcia ludzi, co się kręcili, podbijając bębenka chorążemu, wistocie zaś, wyszukując go pod pozorem konszachtów politycznych — nie ustawały. Zdawało się księciu, że odegrywał jakąś rolę ważną w Rzeczypospolitej. Mówiono cicho o przechyleniu się na stronę Czar-toryskich.

W tych czasach kilka wypadków wielkiej doniosłości, świadczących o tem, że się przeciwko prepotencji Radziwiłłowskiej silna wyrabiała opozycja, — wiele zasmuciło księcia chorążego.

Przypisywał ten zwiastujący się upadek rodziny — księciu hetmanowi, i jego nieudolnemu kierownictwu.

Potakiwali mu zauszniczy.

Nogi tymczasem brzękły.

Gdy w Białej narzekano na hetmana i partję jego, w Nieświeżu, pomimo wielu innych spraw ważnych i walki z familiami, które ośmielały się występować przeciwko Radziwiłłom, pomimo tyśiąca innych niepokojów, przeważała troska — zrobi książę chorąży testament czy nie zrobi? Jaki-kolwiek miał on być — zawsze nie na rękę był Nieświeżowi, bo obciążałby Słucezyny i Bialskie dobra, a hetman chciał je mieć całe i niczem nie onerowane.

Im bardziej niepokojące wieści dochodziły o zdrowiu księcia chorążego, tem troska rosła większa, Posyłano po Matuszewicza, dowiadywano się przez innych, a choć Wolski donosił, że testamentu nie da zrobić, nie bardzo temuż wierzone.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PAMIĘTNIK KRÓLOWEJ WIKTORJI.

W 1851 roku odbyła się w Londynie pierwsza wielka wystawa międzynarodowa. Sprowadziło to tłum ciekawych ze wszystkich stron świata; korzystając z sposobności, postanowiłem być wówczas i ja ciekawość swą zaspokoić. Puściłem się do Anglii bez wielkiego namysłu. Trzydzieści lat temu byliśmy młodzi, moi dobrodzieju! a za przybyciem do Londynu starałem się trochę na los szczęścia urządzić sobie życie, mówię na los szczęścia, bo nie jest to rzeczą tak łatwą w tym kraju.

Londyn pomimo tego, że jest wielkiem zbiegowiskiem ludzi z całego świata, pewnym rodzajem kosmopolitycznego karawanseraju, zachowuje swój odrębny, wyłączny, angielski charakter, tak odmienny od wszystkiego, cośmy przywykli spotykać i widzieć w innych stolicach Europy.

Do programmatu ciekawości, jakie przybyły cudzoziemiec powinien oglądać w stolicy W. Brytanii należą, naturalnie, teatru, a szczególnie opera włoska, grana w teatrze wielkim, zwanym *Covent Garden* (Ogród klasztorny), bo teatr ten wznosi się na ruinach dawniejszego jakiegos opactwa. Drogo zapłaciwszy mój bilet do krzesła w partezie, coś jakby 25 franków, jeden funt sterling, starałem się niestracić ani chwili, i zaraz z otwarciem teatru pośpieszyłem na miejsce. Pierwsza niespodzianka i pierwsze zdziwienie czekały na mnie przy wejściu do parteru w osobie tłustego lożmajstra; zmierzwszy mię okiem i widząc, że



byłem w tuzurku, w czarnym krawacie, t. j., jak nazywają Francuzi *en toilette de ville* zwrócił mi bilet, dodając półgłosem, ale poważnie: „Królowa będzie dziś w teatrze. Należy przyjść we fraku, białym krawacie“. A więc w stroju balowym! Pamiętam jak dziś, wydało mi się to tak niezmiernym dziwactwem, jakiego, w mojej demokratycznej bezpańskości wolnego turysty, nie spodziewałem się napotkać w Londynie.

Nie było co robić. Grzeczny, ale surowy łóżmajster nie miał wcale miny, że gotów jest do próżnej ze mną pogadanki; ja sam zresztą, niebiegły w angielszczyźnie, z trudnością mogłem się tłómaczyć, a więc pośpieszyłem do hotelu, przebrałem się szybko i, wystrojony jak na wesele, wróciłem do teatru. Tą razą zająłem bez oporu me miejsce. Teatr ten ogromny, ale z powierzchowności, jak wszystko prawie co angielskie, sztywny i zimny, w czasie przedstawień galowych, ożywia się trochę mnogością światła i ludzi. W dużej, podwójnej loży po lewej stronie, na pierwszym piętrze, siedziała młoda królowa w otoczeniu świetnym bardzo swojego dworu i rodziny.

Całą moją uwagę, bardzo naturalnie, zwróciłem na królową. Była ona wówczas w całej pełni rozwoju i życia. Queen Victoria nigdy pięknoscią nie uderzała, ale jej postać miała zawsze ten tradycyjny charakter jej rodziny, który przypomina najświetniejsze utwory Rubensa. Karnacja, że tu użyję malarskiego terminu, pełna życia i zdrowia, pozwalała widzieć na jej twarzy, jak się mówi zwykle, *kwęś z mlekiem*. Usta piękne, foremne, iście koralowe, były zwykle jakby nawpół odchyłone. Oczy błękitne szeroko otwarte, patrzyły spokojnie i z dobrocią na świat, a włosy ciemno-blond obficie otaczały pogodnie czoło. Królowa miała wówczas 32 lata; cała jej postać oddychała swobodą, pełnością życia, bez żadnej przesady ani w ruchach, ani w całym ułożeniu.

Pod lożą królowej, na parterze, siedział starzec o rysach wydatnych, o suchej kościstej twarzy, której wrodzoną surowość łagodził dziś wiek podszedły. Był to ów mąż, znany w całej Anglii pod tem popularnym nazwiskiem: *The Duke*, Duk, książę! był to Arthur Wellesley, książę Wellington. Szopen, który również poraz pierwszy widział go w tej loży, pisał do jednego ze swych przyjaciół, „że pod lożą królowej, jak wierny strażnik domu, pies — siedział Wellington“. Ma się rozumieć, że to przezwisko dawał Szopen dukowi w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Od owej chwili, która mi zostawiła miłe wrażenie, widziałem raz jeszcze królową Wiktoryę w czasie jej podróży do Paryża za ostatniego cesarstwa i oto znowu teraz na początku Kwietnia w Mentone, na południu Francji, dokąd Jej Kr. M. zaprowadziła potrzeba łaskawszego klimatu... Z owej młodej, tak ożywionej, kobiety z 1851 roku został tylko ślad niezmiernej dobroci, której wyraz rozlany jest, nietylko w twarzy, ale w każdym ruchu i w całej postaci, żalobnym dziś osłoniętej kirem. To, co możeby było jakby przesadą i poszukiwaniem efektu u innej osoby, u królowej Wiktoryi jest prostą żalobną szatą, serdecznie pamiętnej wdowy na niepowrotną stratę ukochanego nad wszystko męża.

W 1851 r. zwiedzając rozmaite ciekawości Londynu, zaszedłem i do ślicznych, czarownych ogrodów w Kensington i do starego, ceglano-pałacu. Od czasu mojej pierwszej podróży zaszły tu wielkie zmiany. Wówczas w 1851 r. ten skromny pałac, wznoszący się na krańcu zachodnim tych wspaniałych ogrodów, wyglądał jakby poczciwy mieszczanin z przedmieścia. Cisza panowała wokoło, wielkie miasto gdzieś tam daleko siedziało wpośród mgły i dymu, kiedy tu niebo było błękitne i świeciło słońce... „Dziś nowe i wspaniałe pałace i domy zalały całą przestrzeń wokoło tej starej rezydencji królewskiej. Pałac ceglany wydaje się teraz, jakby jaki intruz wśród tych jaśniejących przepychem gmachów. Nizki, brzydki, jest to prawdziwy grzybek, i można łatwo przewidzieć, że przyjdzie kréska na matyska; że stare jego ściany poczciwe, czerwone, zamalowane, ale widocznie niewinne nic nikomu, zwalone zostaną, dlatego tylko, że brzydkie.

W 1819 r. było to rzeczywiście jakby wiejskie ustronie Londynu; kilka wielkich posiadłości pań-

skich sąsiadowały spokojnie z temi ogrodami niezmierniej świeżości i wdzięku, a pomiędzy niemi *Holland-House*, mieszkanie Foxów. Cicho i spokojnie było wokoło, a w czerwonym, ceglano-pałacu mieszkała księżna Kent, synowa króla Jerzego III. Mówię, że było tam spokojnie i cicho wokoło i chyba ważny jakiś wypadek, jakieś święto rodziny królewskiej, sprowadzało większy ruch powozów.

W Maju (24) 1819 r. niezwykły ruch i zjazd panujący w czerwonym pałacu zapowiadał jakiś ważny i, jak się zdawało, wesoły wypadek. W pałacu tym narodziła się dziewczynka biała, pulchna, prawdziwy pączek; a ojciec, podnosząc ją w górę na koronkowych poduszkach, pokazywał zebrany panom i paniom. I jednogłośnie wszyscy przewalili malutką dziecinę „Majowym kwiatkiem“ — to nazwisko zostało jej na długo, a owa malutka księżniczka z czerwonego pałacu, ten majowy kwiatek, to dzisiejsza matrona królewska — królowa Wiktorya!

Kiedy tak często słyszymy dziś wokoło siebie szalone żądania kobiet, kiedy wyraz „emancypacja“ tak niesłychane coraz i dziwniejsze z dniem każdym przybiera znaczenie — jestto prawdziwą pociechą, kiedy myśl może spocząć na spokojnej i pięknej postaci niewiasty, która, wyemancypowana zrządzeniem losu i postawiona na najwyższym szczeblu potęgi i znaczenia w społeczeństwie, umiała zachować nieskazitelną czystość, prostotę, skromność i wszystkie wielkie siły i dary cnót domowych i każdą z nich, każdą z powinności kobiety i matki, ścisłym wykonaniem, ogrzanem ciepłem kochającego serca, postawić wyżej nawet od tej władzy najwyższej, którą jej piastowały ręce. Nigdy zajęcia się sprawami stanu nie dały jej zapomnieć, że jest matką rodziny, a troskliwie jej oko i serce nigdy nie opuszczały zupełnie tego gniazda, gdzie miłość rodziny i spokój małżeński pierwsze zajmowały miejsce.

Obowiązek — *duty*, jak mówią Anglicy — to było prawo całego jej życia i czuła go ona tak głęboko i silnie, że prawie pomimo jej woli pochłonął on całą jej egzystencją. Znajdujemy o tem świadectwo dotykające w tej obszernej *autobiografii*, składającej się z drobnych codziennych listków, które królowa od najmłodszych swych lat dodziśnia zwykła zapełniać każdego wieczora; z tych drobnych kartek, z których każda zabrała jakąś cząstkę uczucia i życia, królowa, potężna władczyni ogromnego państwa, postanowiła wzniesić pomnik dla tego ukochanego towarzysza, z którym lat tyle dzieliła serdecznie życie swoje i swoje uczucia.

Owa książka ciekawa, owo dzieło *Dziennik królowej Wiktoryi*, utwór *kobiety* w całym znaczeniu tego słowa, więcej nas nauczy i więcej nam pokaże, niż wszystkie elokubracye tych, które poza sferą własnej natury szukają wzruszeń dla siebie i dla świata. Niemając nic do ukrycia, nietylko przed okiem własnego narodu, ale świata całego, królowa otworzyła tym osobom, którym powierzona została redakcja tych pamiętników swoje najskrytsze archiwa, swój codzienny dzienniczek i manuskrypta i pamiętniki księcia Alberta. Tym sposobem powstało to dzieło, jedyne w swoim rodzaju, w którym wszystko, cokolwiek jest zacne, poczciwe, czyste i dobre, świeci niesłychanym blaskiem prawdy i w królowej pokazuje nam kobietę, kobietę przedewszystkiem.

Nie mogę iść w ślady tych pamiętników krok za krokiem; żałuję tego, bo nauczają one i wzruszają zarazem. Od najmłodszych lat tej dzieciny, która, utraciwszy ojca w ośm miesięcy po urodzeniu, wychowana została pod okiem matki, starano się oddalić od niej wszelki przepych wielkości i honorów i sprowadzić jej umysł i serce na drogę prostoty i cnoty. Mając już lat dziesięć, młoda Wiktorya znalazła raz ze zdziwieniem w swojej historii genealogią panującej rodziny. Co to jest? — zapytała swej gubernantki pani baronowej Lezhen, — nigdym tego nie widziałam dotąd? — Nie uważano za pożyteczne, księżniczko, pokazywać ci to wcześniej! — Rozpatrzywszy uważnie tę tablicę — „Widzę, — powiedziała bardzo poważnie, — że się znajduję bliżej tronu, niżeli sądziłam“. Wiele dzieci przechwalałoby się tem odkryciem, bo nie zrozumiąłoby wcale

trudności, które się z władzą łączą. Potem, wyciągając swą rączkę do baronowej, dodała: — „Przyrzekam ci, że będę cnotliwą i dobrą! Teraz dopiero pojmuje, dlaczego tyś zawsze nastawała tak bardzo na to, abym się uczyła łaciny“ — i coraz poważniej mówiła: „będę dobrą!“ Można dziś powiedzieć po tylu latach, że królowa dotrzymała w całej pełni obietnicy małej dziewczynki z Kensington.

Nastąpiła potem pełnoletność, pierwsze poznanie się z kuzynem, który miał zostać mężem. D. 20 Czerwca 1837 r. po śmierci Jerzego IV, o piątej godzinie zrana, arcybiskup kantorberyjski, prymas królestwa, lord wielki podkomorzy i lekarz nieboszczyka króla, udali się do pałacu w Kensington, aby oznajmić księżniczce Wiktoryi, iż została królową angielską.

O godzinie jedenastej członkowie rodziny królewskiej, ministrowie, rada przyboczna, parowie państwa, posłowie parlamentu, dygnitarze, wypełniali pokoje paradne pałacu. Nagle otworzyły się drzwi od sali radnej i młoda królowa w towarzystwie swej matki ukazała się zgromadzeniu, bardzo blada, ale pani siebie, i zabrała honorowe miejsce przy stole. Następnie tym głosem czystym i śpiewnym, który tak często podziwiano potem na zgromadzeniach publicznych, odczytała odezwę swoją królewską do nowych swych poddanych. Po ukończeniu przemowy całe zgromadzenie znalazło się pod wpływem niesłychanego wrażenia — jakgdyby czaru. Robert Peel oświadczył, wychodząc z tego przyjęcia, „że są rzeczy niepodobne do naśladowania, i których nie daje nauka i lekcyje!“ Można zaufać prawdziwie słów takiego znawcy, jakim był Peel. Otoż sposób obejścia się prosty, tkliwy i pełen godności, tej ośmastoletniej królowej, był właśnie jedną z tych rzeczy, o których mówił wzruszony Peel.

Kiedy nazajutrz blada, w szatach żalobnych, ukazała się na balkonie pałacu Saint-James, delikatna, wiotka, złotowłosa, z wielkimi błękitnymi oczami, z tą płcią śnieżnej białości, z tą twarzą pełną słodyczy, szczerości i zaufania, zebrany tłum ludu wybuchnął naraz takim zapałem uwielbienia, że wzruszona królowa rozplakała się. Łzy te potwierdziły wieczysty pakt zawarty pomiędzy nią i narodem.

Tegożsamego roku te złote włosy dziewicze miały się pokryć inną jeszcze koroną: wianuszkami mirtowym. Stało się to w tak czuły, a tak dziwne angielski sposób, iż musimy zapisać to na naszych kartkach. Książę Albert przybył do Londynu 8 Października, a 15, przemagając wzruszenie, tak naturalne, ośmastoletniej dziewczynki, choćby ta i królową była, zmuszonej przez swe wysokie położenie ofiarować swą rękę zamiast czekać, aby poproszono o nią, królowa sama wezwała księcia Alberta do siebie i tam mu oświadczyła otwarcie i z wielką prostotą, że gotowa jest zostać jego żoną, jeśli tego pragnie... Książę od dawna już tego pragnął, a powiedział, że młoda królowa musiała już o tem coś wiedzieć.

Była to para dobrana pod każdym względem; nawet z punktu darwinizmu uważając ten związek, była to doskonała selekcyja: przecie wszędzie się znajdzie *ale...* i książę Albert, jako małżonek królowej, wkrótce miał doświadczyć pewnych przeciwności niennikionych. Odgłos tych przykrości znajdziemy w słowach jego listu pisanego do babki, księżnej Saxe-Koburg-Altenburg:

„Wyjąwszy stosunki osobiste, zresztą położenie tu moje będzie miało trudne swe strony; niezawsze będzie błękitne me niebo, bez chmury, ale w każdym położeniu życie ma swe ciernie!“

Ale nakoniec spełniła się oficjalna deklaracya tego małżeństwa, d. 20 Listopada; zapiszmy ją według dziennika królowej, bo tu znajdziemy głos kobiecego serca:

„Sala była pełną, powiada królowa, ale ja nie widziałam nikogo prócz lorda Melbourne'a, który patrzył na mnie z dobrocią i ze łzami w oczach. Ręce moje jak lód zimne, drżały; przecie nie omyliłam się ani na jotę, czytając mój manifest (do rady i narodu). Ja myślę, że *bransoletka z portretem Alberta*, dodawała mi odwagi“.

Po krótkiej wycieczce do swej rodziny książę Albert wrócił do Anglii d. 7 Lutego 1840 r. a we dwa dni później wystrzały armatnie i dzwony zapo-



wiedziały Anglii ślub i wesele królowej. Kroniki z owego czasu zachowały żyjący obraz tych słubowin.

„Ona, blada jak jej koronkowe obsłony, otoczona dwunastoma družkami, prawdziwym korowodem bajecznej zaczarowanej księżniczki, kwiatem piękności angielskich, które ją okrywały, jakby obłokiem jakim, przejrzystą falą koronek i atlasów; ona, pomimo wzruszenia, donośnie i śmiało wymówiła sakramentalne swe „*Tak!*“ — *dumnie i czule zarazem, z pełnem zaufaniem*, — jak to mówiła sama później, przypominając ten dzień w tejesamej kaplicy na ślubie najstarszej swej córki. Poczem wyszli z kaplicy pałacu Saint-James, ręka w rękę, i udali się do Buckinghamskiego pałacu, gdzie królowa, jaśniejąca radością i dumą, weszła na wspaniałe wschody, oparta na ramieniu ukochanego męża. Wspominając tę chwilę, „czułam się, — mówiła z prostotą i skromnie, jakby mocniejszą, silniejszą, jakby teraz dopiero królową“. Jakże to daleko jesteśmy od tych wyryków emancypacji, od tych Westalek *après la lettre!*

Odtąd rozpoczęło się dla obojga to życie spokojne, pracowite, poświęcone obowiązkom państwa i domu, pod którego błogim wpływem to *Home* królewskie stało się wzorowem domowem ogniskiem połączonych królestw, a panowanie królowej Wiktoryi najlepszem i najlaskawszem panowaniem, jakie można spokać na kartach, nie tylko historii angielskiej, ale może i świata całego...

(Dokończenie nastąpi)

## ECHA WIOSENNE.

Maj — chociaż to słotny i zimny — zawsze to Maj! Słowiki, lubo kuląc się trochę od chłodu, śpiewają, trawka rośnie, w duszy człowieka przez samo przyzwyczajenie powstają pewne tęsknoty ku powietrzu, ku obcowaniu z naturą. I jakże tu myśleć o koncertach! Jakże można w biały dzień zapalać gazowe światło i, urągając Majowi, zamykać się w czterech ścianach dla wysłuchania kilku mniej więcej udatnych trelów muzycznych? — Widać, że można, skoro p. Michał Zawadzki, znany fortepianista i kompozytor, właśnie w owej epoce zapukał do... sere publiczności, i zgromadził na swój koncert dość sporą ich liczbę. Pan Zawadzki jest kompozytorem znanym, a co ważniejsza, popularnym. Cała prowincya Podolska i Wołyńska pełne są jego szumek, dunek, trelików, polek, Czabaraszek i tym podobnych — omalżem nie napisał... fraszek. Jest to istotnie popularność zdobyta tanim kosztem, bez wysiłku wielkich, bez najmniejszego starania się o głębokość. Wszystkie utwory p. Zawadzkiego są proste niezmiernie, poruszają się na podstawie harmonii bardzo ubogiej i pod względem formy nie noszą śladu artystycznego opracowania. Cóż więc jest przyczyną tej popularności? Oto śpiewność i melodyjność, którą autor zawsze lubi, oto wdzięczne i miłe traktowanie instrumentu, nie podług dzisiejszej energicznej metody, ale podług trochę już przestarzałych formuł, eleganckich *grzecznych* i miłych. Słusznie *Kuryer Poranny* napisał, że p. Zawadzki, grając jakiś *passaż*, zdaje się chcieć mówić komplement słuchaczowi. Istotnie gra to perlista, równa, elegancka, nienapruszona bynajmniej, niepragnąca imponować upokorzonemu słuchaczowi, ale pragnąca z nim po koleżeńsku niejako pogwarzyć. Z pewnością na dzisiejsze czasy, takie traktowanie fortepianu, to już anachronizm — ale się słucha z przyjemnością tej gry „dobrze wychowanej“ i nie hałaśliwej. Powiedzmy jednak szczerze: gra to więcej salonowa niż estradowa, a kompozycye, z pewnością z małym bardzo wyjątkiem, do poważnej estrady się nie kwalifikują. Zawsze to trochę straconego czasu, spędzić godzin parę na słuchaniu bluetek w stylu Aschera lub Leybacha, a do tej tylko wysokości wznosił nas koncert p. Zawadzkiego. Kilku śpiewów jednak wysłuchaliśmy z większą

przyjemnością i te były najlepszą koncertu częścią.

Pan Grüdiger, znany barytonista, odśpiewał na tym koncercie parę utworów powłosku, bez wielkiego, zdaniem naszym, postępu w swym talencie. Głos to ładny, ale zawsze gardłowo wychodzący, zawsze przy forte zanadto forsowny; dziwne to trochę, że przebywając prawie ciągle we Włoszech, artysta nie przejmuje się sposobem śpiewania włoskim.

Uboga nasza opera zdobyła się na przedstawienie Mozartowskiego *Don Juana*, ku wielkiemu zgorzeniu niektórych organów prassy, zgorzeniu, zaakcentowanemu z taką widoczną przesadą, że nieraz można się było chyba jakich koteryjnych lub osobistych pod spodem doczytywać małostek. Że przedstawienie, pierwsze zwłaszcza, dalekiem było od doskonałości, to pewna; ale z naszymi siłami, bardzo znakomitem być nie mogło; aby jednak w wystudowaniu opery widać było lekkomyślność i niezrozumienie zupełnie, przeciw temu, w imię prawdy zaprotestować trzeba. Orkiestra grała delikatnie i wogóle przyzwoicie; śpiewy zbiorowe szły równo, zgodnie i z cieniowaniem. Że to było wogóle troszkę słamazarne, że brakło tu nie tempa nawet żywego, ale akcentu właściwego często, tego przejęcia się, które-by świadczyło, że się w naturę nieśmiertelnego dzieła dostatecznie wtajemniczyło, to prawda; zdaniem mojem jednak szlachetnych usiłowań podniesienia repertoaru nie należy tak surowo zniechęcać, ale raczej się cieszyć, że się one objawiają. Najbliżej prawdy była pani Dowiakowska, która swoją partya wydożyć potrafiła ponad pewien ogólnoszary panujący ton. Panna Hermanówna z pewnością nie rozumie Mozarta i wogóle robi na scenie to wrażenie, jak-by chodziło jej więcej o swą osobę niż o sztukę. Szczególniej druga *arya c dur*, była bardzo bezbarwnie śpiewana. Pan Chodakowski dobrze śpiewał *andante* z duetu z Zerliną, w czem panna Hermanówna dobrze dopomagała, w wielu innych miejscach był bezbarwnym; serenada mianowicie przeszła zupełnie bez wrażenia. Pan Koziaradki nie może w partyi Leporella pokryć głosu. Elwira pani Wojakowskiej także była dość *szarą*. Wogóle jednak przeciwko obsadzeniu, możliwie dobremu ról, nie mamy wiele do nadmienienia; tylko jedna rola Don Ottavia powinna była rzeczywiście być przez kogo innego wykonaną. Pan Filleborn śpiewał ją bardzo słabo, a co najważniejsza, nie zaśpiewał żadnej swojej *ary*. To już się nie godzi. Operą dyrygował p. Quattrini — bez energii. Dalsze przedstawienia były lepsze.

Oprócz *Don Juana*, zresztą, nic ważniejszego nie pojawiło się na teatralnym horyzoncie, prócz *Pre-ludium Szopen'a*, które jest sztuką teatralną utworu p. Gawalewicza, ważne dla specjalnego recenzenta teatralnego, bo jest śliczną, a ważną dla recenzenta muzycznego, bo osnutą na tle tego preludium, do którego Ujejski dorobił ekliwo-sentymentalny wiersz: *Leże na obłoku, Roztopiony w cisze...* Zresztą, pragnąc zdobyć jaki materiał dla sprawozdań muzycznych, trzeba chyba powrócić znów do tematów wiosennych i zanucić sobie udatną pieśń *Na fujarce*, utworu panny Leokady Myszyńskiej, która zasługuje jako kompozytorka dobra na szczególniejszą wzmiankę, w piśmie poświęconem pracy kobiecej. Może, aby znaleźć od powiedni materiał, wypadnie nam zalecić aż nad brzegi *uroczej* Pełtwi, gdzie napotkamy kwiatek wiosenny, w postaci cudownego dziecka, dziewięcio-letniej panny Ireny Abendroth która na koncercie Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, zadziwiła wszystkich wykonaniem kilku wielkich *ary*. O tej cudownej dziecinie już nam wspominała pani Jakowicka, opowiadając, że głos jest śliczny i mocny, inteligencya wielka, łatwość do wszystkiego niezmierna. Głos rozległy i podatny, pozwala jej śpiewać wszystko, i dziecina, nie wiedząc o trudnościach, śpiewała po kolei *ary* soprane, mezzo-soprane i kontr-altową, a wszystko jej zdawało się do głosu stosować.

Ale skoro już piszemy o Lwowskiem Towarzystwie Muzycznym, jakże mamy nie wspomnieć i o naszym, które zakończyło również w Maju swój sezon, a dopiero do słuchania nas powoła we Wrze-

śniu? Ostatni wieczór był nader zajmujący i urozmaicony; przyjęły w niem udział pp.: Hermanówna (artystka opery), Lechowicz fortepianistka, pani Ładnowska w deklamacji, oraz kwartet smyczkowy, który wykonał piękne Waryacje Noskowskiego. Oprócz tego pan Noskowski, jako skrzypek, odegrał kompozycyę na skrzypce pana Kazimierza Henisza. Pan K. Henisz, to także kompozytor *in spe*, i może nie poslední, i choć należący do płci mniej pięknej, zasługujący na to — by o nim wiedzieli czytelnicy *Bluszczu*. Kilka utworów dotąd wydanych i niewydanych p. Henisz, ujawniają wyraźny talent. Mamy teraz w kilku młodych artystach prawdziwy „siew przyszłości“. Paderewski, kształcący się w Berlinie u Kiela; Rutkowski, Henisz, uczniowie Noskowskiego, Pankiewicz uczeń Żeleńskiego, a podobno dziś Noskowskiego: to ludzie z talentem, o których coraz więcej słyszeć powinniśmy.

Dosyć to dobry znak, owo powstawanie nowych asteroid na niebie naszym muzycznym; — wogóle poważniejszy kierunek nadany muzyce, a w takim właśnie duchu ci panowie pracują — może z niej uczynić coś istotnie żywotnego i godnego poparcia przez społeczeństwo. Takie pojęcie muzyki uszlachetnia i nie pozwala już jej wykluczać z „dobrze urządzonej Rzeczypospolitej“, jak to chciał uczynić s. p. Plato. Ale też wogóle „rzeczypospolite“ z tą arystokratyczną sztuką nie bardzo się godzą...

Czytelniku — czy nie lepiej „krótka a dobrze, niż długo a miernie?“ — a choćby i źle, byle nie długo, to już zasługą, twego sprawozdawcy Muzycznego:

Jana Kleczyńskiego.

## Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Maju 1882 r.

Nadzieja pomyślnego wyniku układów ze Stolicą Apostolską i zgody między Kościołem a państwem, obecnie wszystkie u nas zaprzęta umysły i swita jutrzeńką pokoju, po dziesięciu latach ze wszech miar bardzo ciężkich. Uregulowanie anormalnych stosunków niecierpliwie też i ogólnie było pożądanem. Czas ten próby nie był wszelako straconym, skoro ścieśnił przymierze dworu, plebanii i chaty i nowe mianowicie węzły zawiązał między duchowieństwem a obywatelstwem naszym. Pożądana owa jedność, nigdzie w sposób jawniejszy i bardziej błogi się nie stwierdza, niż w naszej dzielnicy, a dawną przodków tradycyą, najprzedsze domy nie przestają dostarczać z łona swego sług Oltarzom Pańskim. Niema prawie szlacheckiego nazwiska i rodu, któryby sobie za najprzedsze zaszczyt nie poczytywał ustąpienia jednego z synów swoich służbie Bożej: ks. Radziwiłłowie, hr. Szoldrscy, hr. Pinińscy, Stablewscy, hr. Mycielscy, Morawscy, Taczanowscy, Koszutscy, Kaczorowscy, Drwescy, Żychlińscy, Jackowscy, Gajewscy, i wiele innych nazwisk dobrze znanych w Poznańskiem, świeci w zastępie duchowieństwa, słusznie i powszechnie szanowanego. A klejnot szlachecki najmniejszą jeszcze ozdobą, wśród mężów, którzy odznaczają się przede wszystkim gorliwością pasterską, oraz uprawianiem nauki w wolnych chwilach swego świętego zawodu. Trudno byłoby tu wliczyć wszystkie zasłużone nazwiska duchownych naszych dycezyj, którzy piórem walne oddają usługi literaturze i umysłowości krajowej. Naczele jednego z głównych naszych politycznych czasopism stoi kapłan, znany z rozległej wiedzy, klassycznej naukowej podstawy i bystrości sądu o ludziach i rzeczach. Jest to X. Dr Kantecki. Filozofii i filozoficznym w kraju badaczom przodują dwaj Poznańczycy: O. Maryan Morawski i O. Stefan Pawlicki. Ten ostatni, wezwany świeżo przez Leona XIII papieża, na katedrę filozofii w nowej Akademii Rzymskiej, w publicznych odczytach dociera do początków i pierwiastków chrześcijaństwa, zbija-



jąc argumenta i przeczenia tak Renana, jak i niemieckiej szkoły Tubingenskiej.

Archiwum starożytnej w Gnieźnie metropoli dostało się pod straż dwóch mężów rzadkiej uczoności i pracy: księdza kanonika Korytkowskiego i X. Dra Łukowskiego, którzy coraz-to ciekawszymi publikacjami obdarzają poważne czytelników koła. Książki Korytkowski wydaje ze sztytami pomnikowe dzieło: *Pralaci i kanonicy Archikatedry Gnieźnieńskiej*. Nie skończylibyśmy rychło, chcąc wymienić wszystkich pracowników, którzy, obok trudów w winnicy Pańskiej, nie zaniedbują i znojnego krzątania się na niwie umysłowych dociekań; a kierunek ten dodatni najlepiej świadczy o wysokości moralnego i duchowego poziomu naszych kapłanów.

Wiele też dobrego nie przestaje się rozwijać pod ich opieką i za ich pobudką. Warto tu jeszcze wydatnie nadzwyczajną ofiarnością duchowieństwa wielkopolskiego, które jakkolwiek zubożało w stosunkach obecnych, przoduje przecież w każdej sferze. A wiedzieć należy, że Poznańskie jest ojczyzną składek i zbiorowego dobroczynnego działania. Każde czasopismo stale ogłasza rubrykę przeróżnych datków, rosnących w poważne summy, małemi na pozór, lecz upowszechnionemi, jałmużnami. Nie mogąc dać wiele, nikt się nie wstydy dać mało, a że wszyscy dają, z pojedynczych groszy powstają szybko setki i tysiące marek. Piękną też formę przybiera, najczęściej z wdzięczności, i dobroczynność zarazem. Ilekroć chodzi o uczczenie jakiej wybitnej osobistości, obchodzenie jubileuszu pracy i zasługi, wyrażenie przywiązania i wdzięczności powinnych lub uczniów, najczęściej w miejsce uczty banalnych, darów marnych lub pamiątek, stalszym pomnikiem czci ogólnej staje się ustanowione stypendium imienia zasłużonego męża. w towarzystwach i instytucjach dających rękojmię trwałości. Najczęściej Pomoc Naukowa bywa szafarką tych funduszy. Wspominamy tutaj o znanem stypendium imienia ks. Jana Koźmiana, złożonem przez uczniów zmarłego prałata. Stypendium generała Chłapowskiego, przeznaczone ku kształceniu młodych rolników, rośnie dotąd w ręku Towarzystwa Gospodarczego. Dwudziesto-pięcioletnią rocznicę działalności profesora Marcellego Mottego święcili uczennice pensyi, niedgdyś przez jego babkę w Poznaniu założonej, utworzeniem stypendium nazwiska jubilata, w Towarzystwie naukowej pomocy dla dziewcząt. Teraz znów urządzono nową składkę z powodu nowego też jubileuszu. Dwadzieścia pięć lat dobiega, odkąd matka Bernarda Morawska założyła w mieście naszym zakład wychowawczy Panien Urszulanek, a choć obecne stosunki polityczno-kościelne wyparły do Krakowa zgromadzenie zakonne, które tyle i tak rzetelnych usług oddało naszemu społeczeństwu, nie podobna zapomnieć jego działalności; zaznaczyła się ona niespożytemi śladami w wychowaniu młodego pokolenia. Wysoki stopień nauk sędzi tu w parze z moralnem wykształceniem, a rzewne przywiązanie uczennic do swej mistrzyni w niczem nie szkodziło rodzinnym uczuciom. To też wdzięczność ohotnie podjęła myśl rzuconą przez p. sędziego Łyskowskiego: i płyną zewsząd datki, mające na celu utworzenie sierocego funduszu imienia „Matki Bernardy Morawskiej“, dla uwiecznienia jej pracy wśród naszego społeczeństwa.

Do różnorodnych powoływani bywamy składek: teraz, mimo prywatnych i publicznych ofiar, przekonaliśmy się, że teatr polski w Poznaniu utrzymać się o własnych nie może siłach, z powodu tryplemiennej ludności, z której żadna dostatecznego kontyngensu widzów dostarczyć nie zdoła, bo i niemiecki teatr, mimo subwencji rządowej i ułatwień ze strony magistratu, wciąż bankrutuje. Podniesiono tedy myśl drobnej lecz ogólnej składki, żądającej od każdego skromnej ofiary, dziesięciu fenigów, byle się od niej nikt nie usunął. Z ziarnek piasku góry powstają: może więc i z owych sześciogroszówek powstanie fundusz zdolny ocalić byt zagrożony tak drogiej i szanownej instytucji.

Występy panny Derynzanki ożywiły nieco zamarłą scenę i należne zjednały artystce oklaski. Oceniono i tutaj prawdziwy talent, podniesiony starannością gry i uprawą intelligencji. Artystka

trafiła, niestety, w złą porę, kiedy miasto nasze, już opróżnione, nie zaludnia się przybyszami ze wsi.

Nawet termin świętojański nie zdoła zapewne ożywić stolicy, bo rok ubiegający dotkliwie zaciężył nad rolnikami i obrachunki wypadają jaknajfatalniej. Niema prawie właściciela, któryby nie dołożył z kapitału na gospodarstwo, stające się poniekąd najkosztowniejszą dziś fantazją. Jakby dla powetowania poniesionych strat wciąż ostatniego roku, zbiory wiosenne przesłusznie się zapowiadają i ziemia zdaje się uginać pod ciężarem falującego zboża. Ale znów niskie ceny wełny i wogóle obniżenie wszystkich cen rolnych produktów, nową troskę sprowadza na głowy naszych gospodarzy.

Łatwo sobie wystawić, ile następujące po sobie ciężkie lata przysporzyły nędzy. Ruszył się nownie z wiosną prąd emigracyjny, wyprowadzający za morze liczne karawany włościan naszych. Inni śpięszą „za chlebem“ do nadreńskich prowincyj, do kopalni i fabryk westfalskich, gdzie praca ciężka, ale i lepiej płatna i przynosiniejsza. Cóż? kiedy najczęściej zagnani tam biedą chłopci nasi tracą zdrowie przy obcych ich nawykniom zajęciach. Rolnicze plemię nie umie się nagiąć do odmiennych trudów. Uchodzą wprawdzie włościanie nasi za pierwszorzędnych rolników, ale wiedznią przy fabrycznych lub podziemnych znojach. Szczęśliwi jeszcze, gdy z życiem do domu powrócą; teraz naprzykład przy wybuchu gazów w Bochum zgiąć miało bardzo wielu kmiotków poznańskich, niejeden bohaterską nawet śmiercią, jak naprzykład młody, zpod Rawicza, chłopak, który po wybuchu gazów spuścił się do szybu celem ratowania własnego ojca i tam znalazł śmierć.

Przy rosnącej biedzie rozwija się też i działalność dobroczynna Towarzystwa św. Wincentego. Wspominamy przezemnie w ostatniej korespondencji zgon hr. Izabelli z Brzostowskich Mycieliskiej osierocił był rzeczony towarzystwo z długoletniej przewodniczki. Natychmiast zabrano się do zastąpienia ubylej matrony na urzędzie miłosierdzia i najszczęśliwszy wybór powołał na to stanowisko hr. Honorynę z Russanowskich Kwielecką. Dobro, spotęgowana słynnym na całą prowincyą wdziękiem, cudów niezawodnie dokaże w niesieniu ulgi nieszczęśliwym.

Wspomnieliśmy wyżej, iż ziomek nasz, książka Pawlicki, miewa w Wiekuistem Mieście wykłady ściągające licznych słuchaczy. Jednocześnie w stolicy Francji mamy także przedstawiciela, czyniącego niemały zaszczyt stronom swym rodzinnym. Chcemy tu mówić o Auguste hr. Cieszkowskim, który, już w jesieni opuściwszy miasto nasze, dla udziału w kongresie elektryczności, dotąd nie powrócił, wstrzymany w Paryżu stosunkami swemi z najpierwszymi ekonomistami wieku. Jest on między innymi w dawnej i blizkiej zażyłości z ministrem Leonem Say. Zajęty nowem wydaniem głośnego w całej Europie dzieła swego *Du crédit et de la circulation*, hr. Cieszkowski bierze udział we wszystkich czynnościach Towarzystwa ekonomistów francuzkich. Przed dwoma tygodniami rzeczony stowarzyszenie odbyło publiczne posiedzenie, w którym, na dwudziestu siedmiu sprawach poruszonych, trzy z kolei podnosił nasz znakomity rodak, i te niezawodnie były najciekawsze z całego programmatu; oto ich treść ogólnikowa: 1) główne przyczyny powodzi i środki ich zmniejszenia; 2) wpływ ekonomiczny wystawy elektryczności; 3) kwestya morza wewnętrznego. Dziwną sprzecznością, ten umysł nawskróś filozoficzny, z wiekiem coraz bardziej ku praktycznym zwraca się rzeczom, przenikając naprzemian najzawilsze abstrakcje i znów badając kwestye ogólnego pożytku i zastosowania powszedniego. Teoretyk-idealista, miłością ludzkości zniewolony, szuka wszystkiego, co może i doczesny byt nasz poprawić. Niezmiernego w najwyższych sferach zażywa też poważania i szacunku. Zakładający się na wielką skalę francuzki bank rządowy niehypoteczny, zwany *Crédit agricole*, z łona komisyyi swojej wydelegował jednego z członków celem zaproszenia hr. Augusta Cieszkowskiego do rady nadzorczej (Conseil d'administration), o co się ubiegają najpierwsze znakomitości Fran-

cyi. Ta cześć i uznanie, otaczające naszego rodaka i ziemianina, słuszną nas dumą przejmują.

## Korespondencya zagraniczna.

Lwów w Kwietniu 1882 r.

Wczesna wiosna. — Przechadzki lwowskie. — Szkoła leśnicza. — *Ferye alpejskie*, Lucyana Tatomira. — *Obowiązki kobiety w zakresie gospodarstwa domowego*, przez Julię Selingerową. — *Saużenie języka w Galicji*. — Napisy sklepowe; kontrola nad niemi zwierzchności miejskiej. — Czynności sekcji językowej *Koła literackiego*. — Projekt zawiązania Towarzystwa bratniej pomocy literatów. — Zamierzone wydawnictwa *Koła literackiego*: *Książka zbiorowa i Rocznik literacki*. — Instalacja księzka Solecckiego na katedrę biskupią w Przemyślu. — Wystawa przemysła rolniczo-przemysłowa. — Prawdziwe Szwajcarki we Lwowie — Salon Sztuk Pięknych Łukaszewicza.

(Dokończenie).

Obecnie zajęło się też „Koło literackie“ zawiązaniem Towarzystwa bratniej pomocy między literatami, czyli utworzeniem funduszu emerytalnego dla literatów wiekiem lub chorobą do dalszej niezdolnionych pracy. Rzecz dopiero w związku i toczą się obrady nad jej wykonaniem: niewiadomo więc jeszcze w jakim ostatecznie kształcie się wyłoni; to pewna, iż pomysł powzięty w *Kole* zaradza jednej z bardzo dotkliwych dolegliwości pewnej, oile uprzywilejowanej umysłowo, o tyle materyalnie uposledzonej zazwyczaj warstwy społeczeństwa. Biedna rzesza literatów, nosząca w duszy złote światy ideałów, a nieposiadająca częstokroć miedziaka w kieszeni, czyż nie czas aby zbiorowemi własnymi siłami pomyślała o sobie i swych weteranach, co sterali siły? Niemasz podobno w świecie mniej ponętnej doli, niż dola literata. Marszałkowskich buław nie nosimy w tornistrze. Suchy kawałek chleba za życia, a po śmierci trochę wieńców, przemowa nad grobem i parę słów nekrologu w gazetach: oto na czem pracownicy ducha najczęściej u nas przestać muszą, zadawalniając się tem poczuciem, że, pracując poczeiwie ku podniesieniu nauki i oświacie pokoleń; godnie spełnili zadanie życia. Dobre to wszakże zamłodu, póki sił starczy ciała i ducha, ale gdy starość odbierze krzepkość umysłu i podetnie siły fizyczne, co wówczas począć bez wertheimowskiej kassy, bez uzbieranych na giełdzie życia kapitałów, niosących brzęczące odsetki? Dobry więc ze wszech miar pomysł powzięło *Koło literackie*; ale ponieważ dopiero wydział *Koła* zajmuje się ułożeniem projektu statutu przyszej tej instytucji emerytalnej, przeto nie jeszcze bliższego o jej zakresie, a temsamem i skuteczności, powiedzieć się nie da. Nie wiedzieć bowiem: czy to będzie rodzaj towarzystwa zaliczkowego, na wzajemności opartego, czy też fundacya emerytalna, i pod jakimi warunkami będzie można korzystać z jej dobrodziejstwa i czy będzie się rozciągała także na wdowy i sieroty po zmarłych literatach; wreszcie czy ma to być fundacya jedynie dla członków lwowskiego *Koła literackiego*, lub też czy każdy pracujący na polu literatury i mający na niem zasługi, będzie miał prawo otrzymania pomocy i należenia do fundacyi; kto będzie rozstrzygał o tem prawie i zasługach; jakie nakoniec będą źródła dochodów fundacyi, aby działalność jej mogła się na dość rozległą, odpowiednią zadaniu, rozwinąć miarę? Wszystkie to są ważne pytania, a od ich należytego rozpatrzenia zależy pożytek i utrwalenie się projektowanej instytucji. — pytania, które w statucie rozwiązanie znaleźć powinny.

Co do funduszy, zamierza Wydział *Koła* zrobić początek wydawnictwem na ten cel książki zbiorowej w podobnym rodzaju, tylko znacznie obszerniejszej co do objętości, niż wydane ongi *Album* na korzyść Zagrzebia, pierwsze i jedyne dotąd wydawnictwo *Koła*. *Album* rozeszło się bardzo pomyślnie; jest już dzisiaj zupełnie w handlu księgarskim wyczerpane i przyniosło Zagrzebianom 600 guldenów czystego dochodu. Księgarnia, która się zajmowała wydawnictwem, zro-



biła wyborny interes, bo zrealizowała przyznany jej rabat w ciągu prawie jednego miesiąca, w znacznej części jeszcze przed ukazaniem się na świat książki. Lepszego wyniku nie można się było spodziewać. Słusznie też i dziś sądzić można, że każde wydawnictwo, noszące firmę *Koła literackiego*, będzie dobrze przyjęte przez publiczność, gdyż będzie miało za sobą z góry już rękojmią dobrej redakcji i wartości literackiej prac w niem zamieszczonych. Obecnie jednak ma *Koło literackie* większe obowiązki i większą odpowiedzialność względem czytelników i w obec literackiego świata, niż przy wydawnictwie *Albumu*. Tam szło o cel doraźny, o pomoc pieniędzy dla kłeską dotkniętych, należało się liczyć z krótkością czasu, szczupłością formatu i warunkami pokupności książki; z której to konieczności wynikło n. p. to, iż żaden artykuł, mający być pomieszczonym w *Albumie*, nie mógł przenosić objętością stu pięćdziesięciu wierszy druku. Obecnie okoliczności tego rodzaju nie krępują wydawnictwa, i na żadne inne względy, oprócz rzetelnej wartości literackiej, oglądać się nie można. Zadanie książki owiele rozleglejsze, stąd też zupełnie inne obowiązki i odpowiedzialność wydawnictwa, które oceniać się będzie miarą jedynie już tylko naukowej i literackiej wartości.

A ponieważ wydawanie od czasu do czasu książek zbiorowych, zawierających prace rozmaitej treści, nie może przecież dać obrazu dokładnego, w pewną systematyczną całość ujętego, prac *Koła literackiego*, w rozmaitym, a ściśle określonym podjętych kierunku, ani też wydatnie charakterystyki literatury i postępu naukowego chwili obecnej, których krytyczne rozpatrzenie jest jednym z zadań *Koła*, przeto ozwały się liczne w samemże *Koło* głosy, aby obok wydawnictw dorywczych rozpoczęło *Koło* wydawać *Rocznik literacki*, zawierający obok ważniejszych prac członków *Koła*, także doroczne sprawozdanie z jego czynności, a zarazem pogląd na rozwój literatury w ogóle w ciągu roku z krytycznym ocenieniem dzieł ważniejszych. Wydawanie takich *Roczników*, będących wyrazem prac *Koła literackiego*, odpowiadałoby jego właściwemu zadaniu, i jeżeli nie w tym już roku, to na rok przyszły niezawodnie wejdzie w życie.

W połowie miesiąca Maja opuszcza Lwów ksiądz Solecki, nowomianowany Biskup Przemyski, dla objęcia steru powierzonej mu diecezji. Konsekracja i wprowadzenie na katedrę biskupią odbędzie się bardzo uroczysto w Przemysku. Na uroczystość zjedzie osobiście nuncjusz papieżki kardynał Vanutelli, a obywatelstwo całej diecezji na się zgromadzić na ten dzień w Przemysku, aby powitać swego pasterza. Ksiądz biskup Solecki będzie miał na swem nowem stanowisku rozległe i wdzięczne, acz może nieraz mozolne i wymagające wielkiej rozważliwej pracy, ale Lwów traci z jego odjazdem wiele bardzo; zajmował on bowiem tutaj jako dyrektor seminaryum teologicznego i członek Rady Szkolnej krajowej, a zarazem uczestnik wielu instytucji i prac publicznych, stanowisko, na którym nielatwo będzie go można zastąpić. Pod jego kierownictwem seminaryum tutejsze stało się wzorową instytucją duchowną, w której obok należytej karności i porządku rozwijał się duch prawdziwie chrześcijańskiej religijności, połączonej z gorliwością nauki i chęcią umysłowego wykształcenia. W Radzie Szkolnej był ksiądz Solecki jednym z najczynniejszych. Jego stanowcze zdanie i bystry pogląd na rzeczy wywierały wpływ przeważny na tok czynności Rady, jemu też oddawano najważniejsze referaty do załatwienia. W seminaryum, któremu przewodniczył przez długi lat szereg, umiał sobie, co rzadko bywa, zjednać przywiązanie tych, których miał prowadzić. Klerycy postanowili w dowód tego przywiązania i wdzięczności ofiarować odjeżdżającemu wspianą dar, mianowicie szczerosrebrny

pastorał, misternej roboty; zaś nauczyciele tego seminaryum ofiarują mu infule, a kapituła tutejsza duży srebrny kielich mszalny. Zewsząd otrzymuje ksiądz Solecki dowody czci, na które sobie pracą cichą, nieprzerwaną a pożyteczną przez przeciąg lat wielu zasłużył.

Kiedy już mowa o Przemysku, więc dodam jeszcze słów parę o przygotowującej się tamże na rok bieżący wystawie rolniczo-przemysłowej, a to na tak wielkie rozmiary, iż nie ustąpi ona w niczem wystawie lwowskiej z roku 1877. Początkowo miała to być tylko wystawa okręgowa, obejmująca strefę Galicyi środkowej, ale że *l'appetit vient en mangeant*, jak mówią we Francji, przeto i komitet wystawy, jak zaczął z wolna nieznacznie rozszerzać jej programmat, skończyło się na tem, że wystawa, nietylko ma okazać cały postęp rolnictwa i przemysłu krajowego od czasu ostatniej wystawy lwowskiej i spółzawodniczyć niejako z tamtą, ale w niektórych działach zostały przypuszczone na wystawę nawet wyroby zagraniczne, jak naprzykład maszyny i narzędzia rolnicze, a to z uwagi, iż okazanie udoskonalonych zagranicznych wyrobów tego rodzaju, nietylko będzie użytecznym dla krajowych gospodarzy, ale i fabryki krajowe tychże maszyn i narzędzi pobudzi do spółzawodnictwa, a temsamem do ich podniesienia się przyczyni.

Z powodu rozszerzenia programmatu wystawy musiano też rozszerzyć i plac pierwotnie na nią przeznaczony, w którym-to celu komitet dokupił półtora morga gruntu sąsiedniego. Miałem sposobność oglądać plan wystawy i wszystkich budynków, których stawianie już rozpoczęto. Obok głównego budynku, przeznaczonego na wystawę przemysłową, będzie wiele pawilonów rozmaitych na pomieszczenie, bądź-to szczegółowych wystaw zbiorowych, bądź prywatnych. Rzecz naturalna, że pomyślano też o stosownem przyozdobieniu placu parkiem, wodotryskami i t. p. Wystawa będzie otwarta dnia 31 Sierpnia i potrwa przez dwa tygodnie. Warto, aby pisma ilustrowane postarały się o fotografie i rysunki główniejszych pawilonów i widoków, tak jak to uczyniły w roku 1877 podczas wystawy lwowskiej — bo, powtarzam, z całego zarysu i podjętych już dzisiaj przygotowań, widać, iż wystawa przemyska niczem tamtej nie ustąpi.

Mieliśmy tu niedawno niezwykłych gości we Lwowie. Towarzystwo gospodarskie zajmuje się od niejakiego czasu głównie staraniami około podniesienia chowu bydła w kraju; uznawszy to za jedną z najważniejszych, a bardzo u nas zaniedbaną gałąź gospodarstwa. Chów bydła był dotąd prowadzony w Galicyi bez żadnego planu ni systematu, stąd mamy tutaj pomieszanie najrozmaitszych ras bydła, bez względu na właściwości okolic, wymagające hodowli tej lub owej rasy za odpowiednią uznanej. Towarzystwo gospodarskie, podzieliwszy kraj na strefy i zbadawszy dokładnie warunki chowu bydła w każdej z nich, zaprowadza obory mające w każdej strefie pielegnować bydło odpowiednie warunkom gospodarskim miejscowym. Jako jeden ze środków polepszenia i pomnożenia chowu bydła uważa Towarzystwo gosp. sprowadzanie z zagranicy oryginalnego bydła tych ras, które się tutaj najlepiej dają aklimatyzować i najchętniej na tutejszej paszy poprzestają, i odstępowanie takowego właścicielom obór, znanym z wzorowego chowu bydła po połowie ceny. Drugą połowę opędza Towarzystwo gosp. z funduszów subwencyjnych, na ten cel przeznaczonych. Doświadczenie przekonało, że najłatwiej daje się u nas przyswoić, najlepiej przywyka do klimatu i paszy, zwłaszcza okolice Podgórze Galicyjskiego alpejskie bydło szwajcarskie, Berneńskie i Simentalskie. Z końcem Marca b. r. wysłało zatem Towarzystwo gospodarskie komisją do Szwajcaryi dla zakupu oryginalnego bydła berneńskiego. Po kilkotygodniowym pobycie

przyprowdziła rzeczona kommissya transport-składający się z czterdziestu sztuk doborowych które płaciła po 600 — 800 franków za sztukę na miejscu. Prześliczne krówki szwajcarskie, o których przybyciu wieść się natychmiast po całym Lwowie rozbiegła, były przez cały dzień wypożyczania tutaj przed wysłaniem ich na prowincyą właścicielom, dla których je przeznaczono, przedmiotem ciekawości zwłaszcza gospodyń i płeć pięknej świata arystokratycznego. Pierwsza odwiedziła je pani namiestnikowa, a za nią szeregi powozów, napełnionych paniami, sunęły się procesyją dla oglądania pięknych szwajcerek. Śliczne-bo to były krówki, silnie i kształt nie zbudowane, maści czerwono lub słomiano-sro-katej, która to ostatnia najbardziej się obecnie rozpowszechnia w całej Szwajcaryi. Ale cóż sobie myślały te republikanki na widok tych liberyj i herbów, które im się tu poraz pierwszy nasunęły przed oczy? Prawdopodobnie nie uważały na nie wcale, zwracając się tęsknie za głosem dzwoni alpejskiego, przewieszzonego na szyi najokazalszej z nich, który jasnym jak srebro a głośnym dźwiękiem nawoływał im na pamięć górskie strony rodzinne, których zapewno nigdy już w życiu nie obaczą.

Na zakończenie słów kilka o sztukach pięknych. Salon sztuki otworzył obok swej księgarni p. Łukaszewicz. Jest to nowość we Lwowie. Wprawdzie mieliśmy już zeszłej jesieni próbę takiego salonu, która się nie powiodła, ale tam były inne warunki. Salon na dalekiem przedmieściu i nieopalany przez zimę, a nieposiadający przytem doboru arcydzieł, pomimo kilku znakomitszych obrazów, nie mógł ściągnąć publiczności tak licznej, aby się zdołał utrzymać. Salon p. Łukaszewicza znajduje się wśród miasta, przy jednej z najpiękniejszych ulic, co już samo jest warunkiem pomyślnym, albowiem ułatwia zwiedzanie go. Wszakże to jeszcze nie wystarcza. Lwów jest zamalem miastem i zamało posiada bogatych lubowników i mecenasów sztuki, aby właścicielowi salonu zapewnić odbyć, a artystów zachęcić tem samem do oddawania mu w komis swych obrazów. Utrzymanie salonu sztuki wymaga znacznych kapitałów, aby nie ograniczać się tylko na rzeczy dane w komis, ale zaopatrywać wystawę coraz nowymi dziełami znakomitego pędzla lub dłuta. Inaczej bowiem ciekawość publiczności wnet zgaśnie, a salon, nie zyskawszy rozgłosu, ciągle podtrzymywanego, nie będzie miał powodzenia. Tembardziej też poczytywać należy za zasługę p. Łukaszewiczowi, że pomimo tych trudności, z natury rzeczy wypływających, podjął zadanie i zgromadził kilkadziesiąt obrazów godnych widzenia, pomiędzy którymi znajdują się prace Gersona, Kossaka, i niektórych innych znakomitszych malarzów, tudzież kilku miejscowych. Może to się przyczyni do ożywienia popytu na piękne dzieła sztuki i do obudzenia szerszego w niej zamiłowania. Dotychczas u nas, jeżeli kupowano obrazy, to zazwyczaj tylko na dorocznych tutejszych wystawach, następczących ku temu jedy-ną sposobność. Salon p. Łukaszewicza będzie niustającą wystawą, a zatem i niustanną przynętą dla tych, co obok zamiłowania posiadają fundusze dla dogodzenia swym artystycznym pociągom. Ale aby salon swój utrzymać na odpowiedniej wyzynie sztuki, powinien p. Łukaszewicz być bardzo oględnym w doborze dzieł w nim umieszczanych. Jest to główny warunek zapewnienia mu powodzenia i przyszłości.

Władysław Zawadzki.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 6-ty powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

**TREŚĆ.** Entuzjastka-Matka (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Pamiętnik królowej Wiktorji. — Echa wiosenne, przez Jana Kleczyńskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań). — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie).